



LESZEK RYMAROWICZ, ANDRZEJ WIELOCHA

## Tajemnica Pop Iwana albo drugie życie Obserwatorium

Całą tę historię wypada zacząć tam, gdzie dotąd zwykle się kończyła, a więc od momentu opuszczenia Obserwatorium na Pop Iwanie przez jego załogę. Przypomnijmy więc po raz kolejny lapidarny, ale jakże dramatyczny w swej wymowie opis ewakuacji zawarty w opublikowanym w „Płaju” nr 2 opowiadaniu *O Białym Stoniu na Czarnohorze* autorstwa kierownika Obserwatorium, Władysława Midowicza:

Dzień 17 września, dżdżysty i przenikliwy aż do południa, zakończył chyba najpiękniejszy zachód słońca, jaki kiedykolwiek oglądałem z grani Czarnohory. Strzępki mgiełek drgały nad północnymi dolinami, a liliowa zorza długo paliła się na stokach Ineula. W zapadającym mroku podszedł do mnie przodownik Straży Granicznej i powiadomił, że na otrzymany przed chwilą rozkaz mają opuścić Obserwatorium, udając się ku Uścierykom i granicy rumuńskiej. Tak samo placówka Obrony Narodowej.

Chmury zagarnęły Czarnohorę ponownie i pozostaliśmy sami. Telefon milczał, a noc schodziła na pakowaniu. Świt wstał deszczowy i blady, i tylko tu i ówdzie odsłaniały się fragmenty dolin. Wiadomości radiowe podawane przez zagraniczne stacje nie pozostawiały wątpliwości.

Po wspólnie spożytym posiłku rozebrałem radiotelefon i wyniosłszy na dziedziniec rozbijałem jego części młotem, zgodnie z posiadanymi rozkazami „mob”. Patrząc jak w trzaski rozlatywały się lampy, przetworniki, kondensatory i różne cudeńka, Huculi czekający obok z jucznymi końmi tręcali się łokciami, szepcząc: Wże kineć! (Już koniec).

A koniec zbliżał się miarowym krokiem. Obszedłem cały budynek, otwierając przed wyjściem skrytkę pancerną i blokując przełączniki na tablicach rozdzielczych siłowni i kotłowni. Wreszcie przywołałem Czarnego Jurę, mówiąc po ukraińsku, by nie było wątpliwości: Schodzimy do Balzatułu i gwarantuję wam wszystkim nietykalność od Węgrów (którzy od kilku miesięcy okupowali Ruś Zakarpacką). Gdy powrócisz tu jutro, wystawisz z tarasu dużą flagę — tylko jej pas czerwony — by uchronić Obserwatorium od rabunku przez miejscowych. Zostawiam ci dwa mausery z amunicją i pisemne upoważnienie do zastrzelenia każdego, kto by usiłował włamać się do bu-



Klucze od Obserwatorium przekazane przez Władysława Midowicza po powrocie do Polski prof. Jerzemu Kreinerowi

ziemię. Wiatr zaczął przenikliwym deszczem i wielka kurtyna sinych chmur jakby opuszczała się za nami na granie Czarnohory.

Przez rumowiska skalne i kotły schodziliśmy w głąb Rusi Zakarpackiej. Mały Jacek niosący w jednej ręczce maleńką walizczkę z najukochańszymi zabawkami, a w drugiej misia, przewracał się niekiedy na śliskich trawnikach, ale podnosząc się ze skrzywioną buzią, szedł dalej za końmi. Gdy po kilku godzinach obejrzelśmy się u górnej granicy lasów po raz ostatni, gdzieś w podniebiu wyłoniła się z przewalających się grzbietem mgieł wysmukła wieża, na którą kładły się ostatnie promienie zachodzącego nad Mar-maroszą słońca.

Warto może jeszcze wspomnieć kilka zdań skreślonych ręką Midowicza w liście do autorów wydanego w latach 90. przewodnika *Powroty w Czarnohorę*:<sup>1</sup>

Coś wydawało się ścisnąć za gardło 84-letniego człowieka, który przed pięćdziesięciu paru laty zamknął na klucz stalowe drzwi wejściowe obiektu, wiodąc karawanę jucznych koni huculskich w dół na Węgry. Deszcz padał od świtu bez przerwy, jakże spóźniony w tej wrześniowej Polskiej Wojnie. Jeszcze wieczorem odmeldowały się obie placówki ochronne, schodząc na rozkaz ku Uścierkom. Pozostała tylko grupka obsługująca precyzyjne instrumenty oraz sprzężone działko przeciwlotnicze na tarasie. W oddali, niewidoczny za skałkami na zachodnim stoku, czuwał wzmocniony patrol węgierski, by w razie potrzeby dać naszemu konwojowi ogniowe podparcie.

Poza zlikwidowanym radiotelefonem i zabranym uzbrojeniem astrografu, pozostawiliśmy obiekt w stanie funkcjonującym, z pełnym zimowym zapasem ropy i naładowaną akumulatorownią. Przyrządom samopiszącym założyły się w tę sobotę świeże taśmy, zostawiając nieobecnemu starszemu mechanikowi ekwipunek zimowy i zapas żywności, plus poufne ustne dyspozycje przez wiernego Czarnego Jurę pozostawionego na do-zrze.

<sup>1</sup> M. Olszański, L. Rymarowicz: *Powroty w Czarnohorę*, Pruszków 1993.

dynku przed nadejściem władz okupa-cyjnych. Z przygotowanych na zimę zapasów żywności wypłacisz chłopów od jucznych koni po powrocie — po worku cukru na głowę, a większość pozostałej żywności zabierzesz sobie do Żabiego. Miej się, chłopie, i nie daj się!

Jura ze łzami w oczach chciał mnie ująć pod nogi — uściśnąłem go — jak brata. Po czym klucz zazgrzytał w kutyh drzwiach wejściowych i cała karawana koni i ludzi ruszyła wzdłuż muru, przechodząc po kolei granicę państwa. Ukłęknałem, całując mokrą



PAŃSTWOWY  
 INSTYTUT METEOROLOGICZNY  
 OBSERWATORIUM NA POPIE IWANIE  
 2022 m. (CZARNOHORA)

Nr R/199/39

Dn. 18 września 1939 r.  
 (Pocztą: Zabie-Zelene).

Stwierdzenie Rządowe

Władzy Przełożonej: -

Kierownictwo Obserwatorium stwierdza przed samym ewakuowaniem obiektu do Królestwa Węgier, że p. Mgr. Władysławowi MIDOWICZOWI, Kierownikowi Obserwatorium - należy się od Skarbu Państwa - uposażenie za wrzesień, plus to wszystko co otrzymali pracownicy państwowi w innych miejscowościach, przed ich ewakuowaniem.

P. Mgr. Władysław Midowicz, podobnie jak i cały personel Obserwatorium - utracił wszelką łączność z Dyrekcją P. I. M. /przy Ministerstwie Komunikacji/, już z dniem 1-go września 1939 i nie zdołał nawiązać jej do samego końca /Obserwatorium znajduje się o 124 km., od najbliższej stacji kolejowej/.

P. Mgr. Władysław Midowicz posiada VII-mą grupę uposażenia + dodatek wysokogórski, w wysokości 40.-zł. mie - sięcznie.



Za zgodność podpisu:

/B. Liberra, Obserwator P. I. M./

D. P. I. M. Nr. 1666. 30.VI.39. 500.

Kierownik Obserwatorium

Stefan Szczyrbak  
 /Stefan Szczyrbak/  
 Zastępca Kierownika

Nad Czarnohorą zapadła noc, z której przed oczami pierwszych polskich turystów przybyłych w te góry pod koniec lat 80. XX w. wyłoniły się zdewastowane doszczętnie ruiny Obserwatorium. W naszej świadomości okres tych pięćdziesięciu lat był do niedawna praktycznie czarną dziurą, z której dobiegały jedynie niejasne sygnały. Okazuje się jednak, że Obserwatorium miało swego rodzaju „życie po życiu”, a także związaną z tym intrygującą tajemnicę.

## Pop Iwan jako „bohater” literatury sowieckiej

Mniej więcej w rocznym odstępnie ukazały się w Kijowie dwa opowiadania, w których istotną rolę odgrywało Obserwatorium. Autorem pierwszego, zamieszczonego w wydanym w 1940 r. zbiorze *Krótkie opowiadania*, a zatytułowanego *Wasył Palijczuk, Hucuł*, był bardzo wówczas popularny kijowski literat Jurij Janowski. Opowiadanie jest rzeczywiście krótkie i ma formę przemówienia głównego bohatera, Hucuła Wasyla Palijczuka, do zebranej wokół niego gromady, która wybrała go na delegata na zwołane przez sowiecką władzę Zgromadzenie Ludowe Zachodniej Ukrainy we Lwowie. Uchwaliło ono m.in. prośbę do Rady Najwyższej ZSRR o włączenie Małopolski Wschodniej do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Jest to typowa sowiecka agitka, prymitywna propaganda, która dziś wywołuje jedynie wzruszenie ramion i uśmiech politowania. Kiedy jednak zdamy sobie sprawę, że to — pozał się Boże — opowiadanie było pisane dokładnie w tym czasie, gdy NKWD mordowało strzałem w tył głowy tysiące jeńców wojennych, polskich oficerów w Katyniu, Charkowie i Kijowie, uśmiech stężeje na naszej twarzy, a z kart powieje grozą. Szatański iście pomysł autora, by polski żołnierz proponował rozstrzelanie przyprowadzonych na Pop Iwana „polskich panów” staje się swoistym donosem literackim i w gruncie rzeczy nawoływaniem do mordu. Wahaliśmy się długo, czy opowiadanie to opublikować, jednak po dłuższym zastanowieniu doszliśmy do wniosku, że nigdy dość przypominania, jak straszliwy kontekst potrafi dopisać historia do najgłępszego nawet tekstu i jak wielka może być odpowiedzialność za banalne z pozoru słowa.

Hej, ludzie, czy dokrzyczę do was, żebyście wszyscy słyszeli! Tyłu was się zgromadziło, tyłu się was zeszło, i wszyscy w dłonie klaszczą! Świat cały stoi, jakby na Wielkanoc koło cerkwi, jakby ziarenka piasku rozsypać! Hej, sławny mój rodzie, to stoją wszyscy Palijczuki — ramię przy ramieniu, chłopcy mocne i jak dęby wysokie. Kłaniam się tobie, mój rodzie. Najpierw wam, ale i wszystkim pięknie dziękuję. Jestem Wasył Palijczuk, dawniej w służbie jegomości pana profesora Żołyńskiego z obserwatorium, co to hen, hen, na biało błyszczą znad świerków za Czeremoszem.



Manifestacja Huculów w Żabiem z okazji przyłączenia Małopolski Wschodniej do ZSRR  
(kadr z filmu *Oswobodzenie* Aleksandra Dowżenki)

Gazdowie, czy słyszał ktoś z was o obserwatorium, gdzie gwiazdy śledzą i z nieba jak z księgi czytają? A gdzie tam! Pracowaliśmy ciężko w ziemi i nigdyśmy na niebo nie spoglądali. A panowie, taka ich mać, to przed wszystkimi mędrkowali. Na niebo przez rurę się popatrzą, przymierzą różne szkła i widzą, ile chcą. Gdzie jaki chłop kurkę patroszy, a nie groch z kapustą je, tak jak mu się od panów należy! Przyznam się wam, że i ja w tę rurę patrzyłem. Ano patrzyłem. O tak przyłożyłem oko i przycisnąłem. „Co widzisz? — pyta pan profesor. — Czy widzisz zorzę nad lasem? To polska gwiazda wschodzi, nad całym światem będzie ją widać!”. Dobrze. Milczę. Bądź już cicho, człowieku. Nie będę cię denerwował, niech ona i zajdzie! Niech panowie cię oglądają, a ja karpacki góral, z rodu huculskiego. I przechylam sobie tę rurę niżej i niżej. „Co chcesz chłopie?” — pyta pan profesor. „Chcę, paniczku, zobaczyć, co za tym lasem się dzieje, bo mówili ludzie, że bolszewicy idą!”. „Głupstwo — krzyczy pan profesor — Matka Boska stanie za Ojczyznę!”.

Ludzie, ale było tamtej nocy zamieszanie. Tak, jakby cała Polska wyruszyła, i to wszyscy do Rumunii przez Karpaty, pod naszym obserwatorium. Idą tak i idą, z taką wrzawą, że szumu smreków nie było słyhać, aż mi się strasznie stało. Prawdę powiem, chciałem od tego dziwowiska uciekać. A tu woła pan profesor. Poszedłem, a oni już papierki w ogniu palą, rzeczy pakują, ręce im się trzęsą! A niech was szlag jasny trafi! Dają mi pakę złotych, dają jeszcze jakiś kłopot... Oto Wasylu, jak my pojedziemy precz, to podłóż to pod rurę i podpal knotek, a sam uciekaj i nie oglądaj się, cokolwiek

by się nie działo! Wsiadli do auta i pyrr, pyrr — prosto do Rumunii! No i zostałem sam. Na dworze noc. Chciałoby się stąd uciekać, aż pięty swędzą! Ale wtedy patrzę na obserwatorium — i myślę, żeby ktoś nie pozbytkował! Niech — mówię — i chłop nasz w rurę się patrzy, nie tylko panom na gwiazdy spoglądać! Może to nieprawda, gazdowie?!

Wyszedłem prosto do lasu i zakopałem ten pakunek z knotkiem. Zamknąłem bramę i do rury! Patrzę ja, patrzę, aż oczy mi wytrzeszczyło, nachylam rurę coraz niżej, ale już noc, a bolszewików nie widać. Cóż było robić, dałem rurze spokój, zapaliłem fajkę, aż w głowie mi przejaśniało. Hej, gazdowie, bolszewicy chyba i bez rur widzą! I jak ja ich nie mogę zobaczyć, to niech oni zobaczą mnie! Niech oni w swoje rury popatrzą! Wziąłem polską flagę, oderwałem białą połowę — zostawiłem malinową i podniosłem ten znak na maszcie. Akurat świeciło, i słońce na mój znak zaświeciło. Widać z daleka, ze wszystkich stron ten mój sztandar.

Aż przyszedł sądny dzień. Co to za widok, na drodze ani żywego ducha. Ale jakby ktoś szedł drogą przy obserwatorium... I widzę, jak maszeruje polskie wojsko i mnie omija. Ludzie moi — jaki ten czerwony znak potężny! Byłem wtedy tak dumny, jak teraz, kiedy stoję tutaj przed wami!

Już mijal dzień i wieczór kładł się czerwona zorzą za wierzchołkami lasu. Czeremosz w dolinie płynie sobie wśród ludzi. Ledwie słyhać, jak biedny chłop przed chatą dmie w trembitę. Jak wokół fajnie i cicho. Przedłuż, Boże, ten dzień, żeby przed nocą ktoś mój znak zobaczył. Ktoś z tych godnych ludzi — bolszewików, którzy idą wyzwalać swoją krew, swój naród. Tak myślę i pykam fajkę. I spełniło się moje życzenie, ludzie! Idą... Z pięć setek polskiego wojska. Prosto do mojej bramy.

Hej, gazdowie, jak się przestraszyłem! Niegodny ja z taką siłą walczyć. Siedzę, nie odzywam się, bramy nie otwieram. Topór podniosłem nad głowę. A niech który się wychyli ponad bramę, to już po jego głowie! Słyszę, że się zatrzymali i coś: szu, szu — naradzają się. A mój czerwony znak na wietrze powiewa. Zaraz zaczną do bramy z armaty strzelać! Słyszę że ktoś szarpie bramę, hejże, ludzie! Wyzieram i widzę: stoi polski żołnierz.

„Sława Isusu!” „Na wiki sława!” „To tu jest sztab bolszewicki?” „A na co ci on, człowiecze?” „To może i wy, gazdo, z tych bolszewików?” „Jak Boh pomoże na moju temnotu!” „Otwierajcie natychmiast bramę!” „Nie, panie żołnierzu, wycelujcie wasze działa i strzelajcie prosto w mury, niech i ja pod nimi zginę, ale brama dla was się nie otworzy!” Słyszę — znowu: szu, szu, szu. „Bójcie się, gazdo, Pana Boga! — chyba siłą otworzymy. Nasze oficerki do Rumunii uciekają, a nam wędrować z nimi nie ochota. Szukamy dobrych ludzi, żeby się oddać do niewoli!”

No i co było robić? Musiałem ich do tej niewoli wziąć. Poskładali wszystką swoją broń, postawili karabiny maszynowe, armaty. Stoją i nie wiedzą, co dalej. „Wołaj, gazdo, bolszewickie dowództwo — niech wyjdzie z budynku i nam powie, co mamy robić dalej!”. Nabrałem powietrza w piersi i mówię: „Żołnierze, nasza bolszewicka władza przekazała was mnie, Wasylowi Palijczukowi. I ja wam rozkazuję: Macie iść z powrotem i rozejść się do swoich rodzin!”. Wojsko krzyczy, płacze, całuje ziemię. „Dziękujemy wam, panie naczelniku, że nie karzecie. Pokarała nas już ta zła godzina

i polskie państwo! Koniec wojny! Do domu! do domu!”. No i zeszedli wszyscy w dolinę, a ja zostałem sam. Podwórze pełne broni i mój czerwony znak.

Nastała ciemna noc, chodzę dookoła, pilnuję zdobyczy, dobra wszelkiego i kurzę fajkę — duszę rozgrzewam. Pies do nóg się tuli, łasi się, na bramę szczeka. „Kto tam!” — wołam. „Otwórz gazdo — ja z tych, co żeście do niewoli brali!”. „A czego tobie trzeba po nocy?”. „Przyprowadziliśmy do was panów z dziesięciu. Rozstrzelać ich, czy co?”. „A kto oni?”. „Nie wiemy, panie naczelniku. Może ministrowie jacyś, albo i policjanci? Mają ze sobą pięć worów pieniędzy — może to ucieka polski bank?”. „Wrzucicie ich do lochu — mówię — i porządnie zwiążcie! Niech czekają, skoro ich doła taka!”.

Patrzcie, gazdowie, jak ta Polska wypadła — śmiech i grzech, nie ma o czym mówić. A jaki honor był! Jak tego chłopca pacyfikowali. A myśmy cierpieli. I jak tych bogów — w ręce całowali. Ale dobrze. Stoję więc na straży i ciągle myślę o tym moim czerwonym sztandarze. Bo przebrałem się w bolszewicki strój, ale dalej nie wiem co. Może trzeba z armaty strzelić, albo krzyczeć w ciszę?

Podszedłem do lochu. „I jak się wam siedzi, mości panowie — może wody podać?”. „Bydło, chamy! — odpowiadają panowie. — Wasza armia do Moskwy ucieka. Wasz Stalin o pokój nas błaga”. No to odszedłem, niech sobie krakają!

Przez całą noc nie zmrzyłem oka. Co będzie rano? Bo ja już nie jestem po prostu Hucul — Wasyl Palijczuk. Teraz w moich rękach nauka. Na niebo patrzeć. Karabiny i armaty. Panowie ministrowie z całym bankiem, taka ich mać! Wierzcie mi, strasznie na takiej górze prostemu człowiekowi samemu zostać. Z każdej strony ją widać, może i zza granicy patrzy, jak te Palijczuki żyją bez polskich panów?

Ale rano się nie spóźnił. Taki czysty i wesoły, przeszedł przez górę, po mgłach się prześlizguje, smreki przyozdabia, wianki z chmur wije. Samolot nad górami leci. Niżej i niżej, przeleciał nade mną, pomachał skrzydłami i odleciał. Pac! Coś koło mnie spadło. Może to bomba! Biorę i rozwijam. Papier. Oj, bieda, do mnie już z samego nieba listy wysyłają! Ale nie przeczytałem, bo za Polski jakoś na profesora nie zdążyłem się wyuczyć.

Ale fajni chłopcy, ci bolszewicy! Podjechali pod samą bramę czołgami. Wyszedłem, uchyliłem kapelusza. „Sławisu. Pomahajby pana hnaty!”. „Dobrego zdrowia ojczulku — mówi jeden z nich. — To może wy jesteście towarzysz Palijczuk?”. „Wasyl Palijczuk, łaskawy panie bolszewiku”. „Dobrego pana znaleźliśmy, ojczulku. Wy całą gębą pan!”. I zaśmiał się. „Nie wiem, jak was tytułować, panie-towarzyszu, za to wasze junactwo?”. „To my was będziemy tytułować, towarzyszu Palijczuk! — mówi i śmieje się. — Polskie pułki same do was w niewolę idą!”.

Tacy weseli, tacy fajni chłopcy wyglądają z tych tanków. I młodzi, młodzusięncy, jeszcze rumieńce mają na licach. „Moje wy gołąbki — mówię prosto z serca. — Niech waszym ojcom i matkom łaska z nieba spłynie za takich synów. Niech im życie płynie lekko”. I lży mi z oczu kap, kap. Wstyd mi za to, ale sam nie wiem, jak się to stało. Tak jakby ktoś nacisnął mi w piersi jakiś guzik, co lży pompuje. Płaczę i śmieję się jednocześnie. „To pozwól, że cię, synku, chociaż pocałuję, żebyśmy znajomkami byli, albo i pobratymami. O! i nawet listy od waszych do mnie z nieba lecą, jak chcesz zobaczyć”. Podaję ja mu ten list z nieba. Żołnierz dziękuje — „Ten list akurat do

nas, a do was jeszcze inne listy będą, ojczulku!”. Wyczałowaliśmy się jeszcze raz. Ot i wszystko.

I co wy, towarzysze, powiecie na moją mowę? Zanim wrócę ze Lwowa z Narodnych Zborów, trzeba żeby ktoś przejął obserwatorium. Niech i nasz prosty człowiek w rurę popatrzy i akademię kończy. I kłaniam się wam, gromado, za to żeście mnie wybrali i za wasze zaufanie do Wasyla Palijczuka, prostego Hucuła.



Pod gmachem Obserwatorium, pośrodku Wasyl Palijczuk (fot. z arch. J. Zelenczuka)

Powyższy przekład opiera się na tekście zamieszczonym w zbiorze *Kijewskie Rasskazy* (Gosudarstwiennoje Izdatielstwo Chudożestwiennoj Literatury, Moskwa 1950). Na wewnętrznej stronie okładki napisano, że uchwałą Rady Ministrów ZSRR Jurijowi Iwanowiczowi Janowskiemu za cykl *Kijewskie rasskazy* przyznano Nagrodę Stalinowską trzeciego stopnia za 1948 r.

Drugie opowiadanie ukazało się także w Kijowie, ale rok później (choć datowane jest również na 1940 r.). Nosilo tytuł *Twardy charakter*, a jego autorem był popularny i hołubiony przez władze sowieckie literat ukraiński



Iwan Łe (właściwie Iwan Mojsia, 1895–1978), autor opowiadań i powieści w stylu realizmu socjalistycznego. Jest ono dłuższe niż pierwsze i wydaje się mieć poważniejsze ambicje literackie, jednak w praktyce też sprowadza się do niewybrednej propagandy skierowanej przeciwko państwu polskiemu. Wprawdzie jego główny bohater nazywa się Petro Hryniuk, a opisane w nim wydarzenia dzieją się w obserwatorium na szczycie góry nazwanej Mariczejka, nie ma jednak najmniejszej wątpliwości, że tu także chodzi o Pop Iwana.

Mimo, że obydwa teksty różnią się szczegółami — np. u Iwana Łe pojawia się „karpacki rewolucjonista” Sławik agitujący Hucułów i opowiadający im o niosącej wolność Czerwonej Armii — to w każdym z nich mamy do czynienia z szeregiem identycznych motywów istotnych dla propagandowego przesłania. Jest więc motyw uciekających w panice Polaków, którzy zlecają pozostawionemu w obserwatorium Hucułowi wysadzenie w powietrze budynku, jest wyprowadzenie głupich Polaków w pole przez cwane Hucuła, jest wreszcie — najistotniejszy chyba — motyw wywieszenia na dachu czerwonej flagi, co ratuje Obserwatorium przed zniszczeniem. Szczególny nacisk obydwaj autorzy położyli na zbudowanie piętrowego symbolu: oto lud w osobie prostego Hucuła odbiera polskim panom Obserwatorium dzięki nadprzyrodzonej wprost mocy czerwonego sztandaru, a następnie dumnie nim powiewając, przekazuje budynec Armii Czerwonej.

Z obydwu tekstów widać jasno, że żaden z autorów nie był nigdy w Obserwatorium, a ich wiedza na jego temat pochodziła raczej z zasłyszanych gdzieś opowieści, plotek i legend. Jak to więc się stało, że dwóch prominentnych sowieckich literatów napisało w tym samym czasie dwa różne opowiadania na ten sam temat, w dodatku zawierające zadziwiająco podobne wątki? Czy jeden drugiemu ukradł pomysł? Czy jeden od drugiego przepisał? Czy może raczej każdy po swojemu opowiedział zasłyszaną gdzieś tę samą historię?

Zaskakującą odpowiedź na te pytania znaleźliśmy w tekście Wołodymyra Poleka pt. *Należyt i Polsce, i Ukraini* zamieszczonym w czasopiśmie „Dzwyn” nr 11 (565) z listopada 1991 r. Artykuł poświęcony jest Stanisławowi Vincenzowi i jego twórczości, a Polek — zgodnie z zawartym w tytule przesłaniem — oddaje hołd twórczości autora *Na wysokiej połoninie*, podkreślając jego ogromne zasługi dla kultury polskiej i ukraińskiej. Dla nas jest tu szczególnie interesujący fragment mówiący o okolicznościach uwolnienia Vincenzów seniora i juniora z więzienia NKWD w Stanisławowie. Jak pisze Polek, uratowali ich ukraińscy pisarze radzieccy Petro Kozłaniuk, Iwan Łe i Jurij Janowski, przysłani na zajętą przez Armię Czerwoną zachodnią Ukrainę w celu zorganizowania lwowskiej filii Związku Pisarzy Ukrainy. Na prośbę Poleka Iwan Łe spisał i przekazał mu w 1967 r. swoje wspomnienia dotyczące tego wydarze-

nia. Czytamy w nich m.in., że po „wyciągnięciu z tej nieprzyjemnej sytuacji” Vincenza wywieźli go, aż do domu w góry do Słobody Rungurskiej. Dalej Łe przyznaje, że dało im to doskonałą okazję, by zbliżyć się do pisarza i że byli w jego rodzinie przyjmowani z wdzięcznością i bardzo serdecznie. Choć sam Vincenz jakiś czas po tej „nieprzyjemnej sytuacji” był wciąż dość mocno chory (Łe używa tego eufemizmu na określenie pobytu w więzieniu NKWD, pamiętajmy jednak, że po pierwsze, list powstał w latach sześćdziesiątych, po drugie jego autor był ideowym komunistą). I tu w liście Iwana Łe pojawia się największa rewelacja, pisze on bowiem, co następuje (cytat za artykułem Poleka):

Muszę powiedzieć, że moje wielkie opowiadanie *Twardy charakter* napisałem wyłącznie pod wrażeniem jego [S. Vincenza — W.P.] gorących opowieści o tym, jak ustępujący przed Czerwoną Armią żołnierze [polscy — W.P.] zamierzali zniszczyć obserwatorium na górze Mariczejka, jak je uratowali radzieccy żołnierze z pomocą stróża i jednego karpackiego rewolucjonisty. Opowiadanie Vincenza było nadzwyczaj obiektywne, nasycone faktami i psychologiczną charakterystyką. Nawet zwierzyłem się mu ze swojego zamiaru napisania o tym. Wtedy Vincenz w dwójnasób zaczął podawać mi mnóstwo najpotrzebniejszych szczegółów o obserwatorium i o jego uratowaniu od ruiny.

Gdyby to, co pisze Łe, było prawdą, wyjaśniałoby przedziwną zbieżność jego opowiadania z agitką Janowskiego. Wszak najprawdopodobniej obaj byli wówczas w Słobodzie Rungurskiej obecni i słuchali owej opowieści Vincenza. Poza tym wszystko wydaje się wskazywać, że dla obydwu był to jedyny kontakt z Huculszczyzną. Oczywiście musimy pamiętać, że wspomnienia Łe zostały spisane po prawie trzydziestu latach od tamtych wydarzeń i należy podchodzić do nich z dużą ostrożnością. Choć z drugiej strony trudno znaleźć jakikolwiek rozsądny powód, dla którego Łe miałby akurat w tej konkretnej sprawie konfabulować.

A co na ten temat pisze sam Stanisław Vincenz? Dramatyczne okoliczności aresztowania, uwolnienia i wizyty ukraińskich literatów w Słobodzie Rungurskiej opisane są dość szczegółowo na kartach *Dialogów z Sowietami*. Opis ów potwierdza dwa fakty: istotny udział literatów ukraińskich w uwolnieniu Stanisława Vincenza i jego syna z więzienia w Stanisławowie oraz ich wizytę w domu pisarza. Nie jest tu wymieniony z nazwiska żaden z literatów, występują oni jedynie pod inicjałami jako „tow. Z.” i „tow. K.”. Andrzej Vincenz w przepisie rozszyfrowuje pierwszego z nich jako Iwana Fre, co jest najprawdopodobniej literówką i trudno wątpić, że chodzi tu o Iwana Łe. Podaje także nazwisko Petra Pancza jako literata zaangażowanego w pomoc. „Tow. K.” można by pewnie utożsamić — zgodnie z sugestią Poleka — z Petrem Kozłaniukiem (1904–1965), pisarzem ukraińskim, autorem felietonów i opowiadań z życia

wsí, a także tłumaczem literatury polskiej. Problem w tym, że Vincenz pisze o nim „kijowianin”, Kozłaniuk zaś pochodził z okolic Stanisławowa.

Wspominając wizytę literatów w Słobodzie Vincenz pisze tylko: „Przyjechał tow. Z. w asyście ośmiu osób. Prócz kilku literatów z Ukrainy i dwóch oficerów NKWD był także obecny jako przewodnik znany żydowski poeta Ber Horowitz”.<sup>2</sup> Spotkanie z literatami w Słobodzie Rungurskiej odbyło się najprawdopodobniej tuż przed świętami Bożego Narodzenia w 1939 r., czyli mniej więcej dwadzieścia dni po wypuszczeniu Vincenzów z więzienia. Swoje kontakty z Iwanem Łe podsumowuje Vincenz tak: „Nie spotkałem już nigdy tow. Z. Adresu nie podał, listów nie pisał, po kilku miesiącach wiosną przysłał mi przez okazję przekład swojej książki”.<sup>3</sup>

Wróćmy jednak do owej tajemniczej opowieści. Czy Vincenz mógł opowiedzieć coś takiego odwiedzającym go literatom? Wydaje się nie podlegać dyskusji, że ze stekiem bredni zawartych w obydwu opublikowanych później opowiadaniach Vincenz nie mógł mieć nic wspólnego. Ale owszem, można sobie wyobrazić, że coś przybyłym do Słobody sowieckim literatom o Huculszczyźnie opowiedział, wszak opowiadanie było jego żywiołem. Cóż więc mógł opowiedzieć? Na pewno wybrałby coś, co pokazywałoby mądrość życiową jego ukochanych Huculów, ich stosunek do świata i ludzi. Czy historia o wywieśzieniu czerwonej flagi na opuszczonym budynku Obserwatorium przez pilnującego go Hucula spełniała te warunki? Wydaje się, że w oczach Vincenza tak.

Niestety są to tylko domysły, nic bowiem na ten temat nie znajdziemy ani w *Dialogach z Sowietami*, ani w innych jego pismach. Co ciekawe, nigdzie też w niezwykle obszernym archiwum Stanisława Vincenza nie ma ani słowa o Obserwatorium na Pop Iwanie, tak jakby pisarz nie wiedział o planach jego budowy, o jego powstaniu i rocznym prawie funkcjonowaniu. Z domu Vincenza w Bystrcu nie widać wprawdzie szczytu Pop Iwana, ale trudno sobie wyobrazić, żeby pisarz w tej sprawie nie miał własnego zdania. Mało tego, nietrudno — znając poglądy Vincenza — wyobrazić sobie jego opinię o tym przedsięwzięciu. Należy sądzić, że była ona w najlepszym wypadku sceptyczna. W każdym razie na uroczystości otwarcia tego przybytku nauki Vincenza nie było, co wydaje się być znamienne. Czy nie mógł odczuwać pewnego rodzaju satysfakcji z faktu, że Huculszczyzna, zmaterializowana w osobie Palijczuka, zatriumfowała raz jeszcze nad wdzierającą się w góry cywilizacją? Oczywiście to zbyt daleko idące spekulacje.

---

<sup>2</sup> S. Vincenz: *Dialogi z Sowietami*, Kraków 1991, s. 149.

<sup>3</sup> Tamże, s. 153.



Wasyl Palijczuk w latach 90. (fot. z arch. J. Zelenczuka)

Jedno wszakże trzeba jeszcze powiedzieć. Jeżeli rzeczywiście Vincenz opowiadał jakąś historię związaną z wydarzeniami na Pop Iwanie po inwazji sowieckiej na Polskę, mógł ją usłyszeć nie wcześniej jak po 21 października, czyli po powrocie przez zieloną granicę z Węgier do domu w Bystrcu, a więc z miesięcznym opóźnieniem. Miesiąc to wystarczająco dużo czasu na to, żeby wieść o jakimś wydarzeniu, przekazywana z chaty do chaty, z osedka do osedka, nabrała ciężaru gatunkowego, zaczęła żyć własnym życiem i dojrzała jak dobra bryndza. Być może Vincenz usłyszał ją od swoich bystrzeckich sąsiadów?

## Obserwatorium Karpackie im. tow. Chruszczowa

Okazuje się, że Biały Słoń funkcjonował w najlepsze od wiosny 1940 do czerwca 1941 r., a w budynku żyła i pracowała kilkudziesięcioosobowa załoga. Mało tego, zachował się obszerny opis działalności Obserwatorium z tego okresu. Dodajmy — opis, który może wnieść wiele nowego do wyjaśnienia, jak właściwie było z tym czerwonym sztandarem i planami wysadzenia budynku.

*Gdzie sine góry, gdzie góry Karpaty.* Tak zatytułowała redakcja almanachu „Rękopisy” wydanego w Kijowie w 2004 r. wstęp do wspomnień Mychajła Karpowicza Korostarenki (1910–1988), który kierował Obserwatorium na Pop Iwanie od wiosny 1941 r. do ataku Niemiec na Związek Radziecki.<sup>4</sup> We wstępie tym redaktorzy piszą między innymi, że Obserwatorium odwiedzał często generał major wojsk ochrony pogranicza Iwan Pietrow, a to dlatego, że przez teleskop był widoczny nie tylko nieboskłon, lecz także okoliczne kraje: Polska, Rumunia i Czechosłowacja (sic!). Oczywiście redakcja ten teleskop sobie „dośpiewała”, bo Korostarenko ani razu o nim nie wspomina. Nie mógł wspominać, bo jak wiadomo, Władysław Midowicz, ewakuując Obserwatorium, zabrał na Węgry soczewki i oprzyrządowanie astrografu, zostawiając jedynie bezużyteczną rurę. Skąd więc zaczerpnęła redakcja sensacyjne informacje o teleskopie? Czyżby z legend, które tak długo krążyły wśród ludu, że dotarły do Kijowa i dotrwały do 2004 r.? Ich źródła należałoby pewnie szukać jeszcze przed wojną, kiedy to Huculi zaraz po wybudowaniu Obserwatorium z przejęciem opowiadali, że przez teleskop widać prawie cały świat.

Tu nie możemy sobie odmówić dygresji. Mianowicie w 2005 r. Hucuł pilnujący pozostałości sowieckiej bazy radarowej na Tomnatyku w paśmie Jałowiczory przekonywał nas z przejęciem, że obsługa radarów widziała na ekranach samoloty startujące z lotniska w Nowym Jorku. Jak widać, czasy się zmieniają, a wyobraźnia Huculów pozostaje bez granic.

Sam Korostarenko swój dziennik zatytułował *Wichry Czarnohory* i zaczął go pisać (przynajmniej ten fragment, który został opublikowany) 26 marca 1941 r. Już pierwszy zapis, dokonany w Kijowie, rodzinnym mieście autora, zapętla nam dyskurs. Otóż Korostarenko spotyka tam reżysera filmowego Wojszwyła, który zamierza nakręcić film pt. *Wasyl Palijczuk, Hucuł*, oczywiście według opowiadania Jurija Janowskiego. Tęgo ostatniego Korostarenko spotyka także, a nawet zaprasza go do odwiedzenia Obserwatorium. Wypadałoby wszak, żeby Janowskij ujrzał wreszcie miejsce akcji swojego opowiadania. Przy okazji Korostarenko czyni cierpką uwagę o ignorancji reżysera, który nie ma zielonego pojęcia o realiach życia w Obserwatorium.

Jakie kompetencje miał trzydziestoletni Korostarenko, żeby kierować poważną placówką naukową, nie wiemy. Wiemy natomiast, że był ideowym komunistą, oddelegowanym na to stanowisko z resortu spraw wewnętrznych. W Obserwatorium mieszkał razem z żoną (która pełniła rolę lekarza) i jej rodzicami (teś był kucharzem, a także hodował na miejscu świnię). Oprócz nich

<sup>4</sup> M. Korostarenko: „Witrowiji Czornohory” [w:] *Rukopys. Ukrajinśkyj almanach spohadiv, szczoedennykiw, lystiw, dokumentiv, swityn*, t. 1, red. I. M. Dziuba, „Krynycia”, Kyjiv 2004, s 487–514.

przebywało tam stale kilkadziesiąt osób (sic!), m.in. członkowie rady naukowej Nowysz, Zacharczenko i Czumyczew z żonami, kilku pracowników technicznych, sprzątaczkę oraz Huculi — trzech Palijczuków i dwóch Tomaszczuków. Nawet biorąc pod uwagę obszerność budynku, trudno sobie wyobrazić, jak się tam wszyscy oni pomieścili. Przedwojenną obsadę można było wszak praktycznie policzyć na palcach jednej ręki.

Jak się okazuje, już od 10 września 1940 r. prowadzono na Pop Iwanie stałe obserwacje meteorologiczne, a także inne badania. Obserwatorium posiadało łączność radiową, która okazała się bardzo awaryjna, działał chyba oryginalny prądotwórczy agregat dieslowski.

Lektura memuarów Korostarenki, które wydają się szczerze, przypomina trochę sytuację z rosyjskiego dowcipu, jest bowiem *i straszno, i śmieszno*. Czytając je, odnosi się wrażenie, że aktywność ludzi zatrudnionych na Pop Iwanie nie była pracą, lecz raczej walką z przyrodą, z brakiem dosłownie wszystkiego i z ogromną biurokracją, a przede wszystkim był to ciągły konflikt dyrektora ze sfrustrowaną załogą, zapewne nieraz niedożywną i słabo wynagradzaną. Nie wiele pomagały organizowane regularnie zebrania partyjne, związkowe, komсомolskie, a nawet interwencyjne wizyty oficerów NKWD. Nie pomogło nawet wspólne studiowanie *Krótkiej historii WKP(b)*. Nie będziemy tu oczywiście przytaczać całego tekstu — zainteresowanych odsyłamy do oryginału — lecz omówienia co ciekawszych wątków nie możemy sobie odmówić.

Młody i ambitny kierownik Obserwatorium i przewodniczący jego Rady Naukowej pracował nad ważkim tematem „Klimatycznej charakterystyki rejonu obserwatorium”. W tym celu postanowił nauczyć się polskiego, ponieważ — jak pisał — polska literatura o Karpatach jest obfita, a po rosyjsku nie ma niczego. Z nabożnym podziwem przeglądał pozostawiony w Obserwatorium księgozbiór.

Pisze: „Siedzę z polskim słownikiem i bardzo dokładnie tłumaczę artykuł o halnym wietrze w Karpatach. Chcę poznać przyczynę i wyjaśnienie jego powstawania”. I dalej: „Wieczorem z Kola Tomaszczukiem czytałem artykuł Tylczaka<sup>5</sup> i jednocześnie tłumaczyłem. Sprawa posuwa się powoli, ale się posuwa. Wspaniały artykuł o karpackim wietrze halnym”. A pod następną datą: „Uczyłem z Kola Tomaszczukiem języka polskiego, wszyscy czytali artykuł Tylczaka. Sprawa posuwa się powoli. Kola jest mało piśmienny i wielu słów nie rozumie sam”.

Korostarenko ma naukową intuicję, przypuszcza bowiem, że wiatr napierający na gmach obserwatorium to prawdopodobnie ów tajemniczy „halniak

---

<sup>5</sup> W. Tylczak: *Halniak karpacki*, Lwów 1939.

karpacki”, stąd jego żmudne zmagania z polszczyzną. Popularyzatorski w istocie artykuł uznał za wysokiej klasy dzieło naukowe traktujące o zjawiskach, o których najprawdopodobniej nie miał zielonego pojęcia.

Chociaż w swych pamiętnikach kierownik Obserwatorium pisze o wielkich trudnościach z naborem pracowników, w prasie sowieckiej pisano w tym czasie: „Kolektyw pracuje w zgodzie, są organizacje: partyjna, komsomolska i związkowa, redagowana jest gazetka ścienna, odbywają się narady. To można było zrobić jedynie w naszym kraju, gdzie instytucje naukowe popierane są przez rząd, partię i cały naród radziecki”.



Huculi czytają gazetę „Komunist”, sowieckie zdjęcie propagandowe  
(z arch. L. Rymarowicza)

Autor jako ciężką osobistą porażkę przeżył odmowę stanisławowskiego wojewódzkiego komitetu wykonawczego partii nadania Obserwatorium imienia Chruszczowa: „Kiedy przeczytałem ten dopisek, zamarłem i kartka wypadła mi z rąk. (...) Nikt nie może zrozumieć tego, co przeżywałem: dlaczego? Dlaczego odmówiono przemianowania? Czy my prosiliśmy o zmianę nazwy góry? My prosiliśmy, żeby obserwatorium nazwać imieniem Chruszczowa. I tego nie zrobili. Taki żal i krzywda. Głowa pęka. Jak to powiedzieć kolektywowi?”.

Kiedy ma być przyjęty w poczet członków partii komunistycznej, opuszcza Obserwatorium i dociera około północy do Żabiego. Tam witają go... dźwięki

Międzynarodówki, które płyną z głośników ustawionych na ulicy, „roznosząc wielki hymn po mieście, nad Czeremoszem i po górach”. Po odebraniu upragnionej legitymacji partyjnej notuje: „Dusza moja — dusza komunisty odtąd spleciona złotym wiankiem statutu i programu WKP(b)... Z jakiegoś powodu popłynęły mi łzy z oczu”.

Zapis z 1 maja 1941 r. we wspomnieniach Korostarenki brzmi następująco:

Mgła, chmury obstały obserwatorium. Temperatura ok. 0°. Wiatr zachodni do 10 m na sekundę. Śnieg pokrył góry. Kolumna demonstrantów wyruszyła spod Obserwatorium. Z powitalnymi przemówieniami wystąpiliśmy: ja, politruk ze strażnicy i Czumyczew. Mówcy stali na szczycie, mgła okrywała ich postaci, pozostali stali poniżej. (...) Politruk przywitał nas wszystkich i powiedział, że żadna swołocz nie naruszy dziś naszych granic. Wszyscy byli radosni i weseli. Na czele pochodu Wania niósł czerwony sztandar, a Marusia Pawłuk i Kola Tomaszczuk trzymali kolorowy portret Stalina.

Jeden tylko Mykoła Paliczuk był nachmurzony i bardzo smutny. Nie patrzył na fotografa, odwracał się od niego; nie słuchał mówców; zdawało się, że przeżywa surową karę, otrzymaną za nic. Miałem ochotę wyciągnąć pistolet i zastrzelić go na miejscu. (...) Dziś był świąteczny obiad z wódką.

Obraz pierwszomajowego pochodu na szczycie Pop Iwana, ze spowitymi mgłą mówcami i zmagającymi się z porywistym wiatrem, dźwigającymi portret Stalina manifestantami, godzien jest kamery najlepszego reżysera. Podobnych obrazków w zapiskach Korostarenki znaleźć możemy więcej, ale są tam także dwa interesuje nas wątki związane z tytułową tajemnicą.

Otóż do Obserwatorium pewnego dnia dociera informacja, że wybiera się do nich z wizytą generał major wojsk ochrony pogranicza. Załoga cały dzień czyści i stroi budynek, a teść kierownika gotuje specjalny obiad, na okoliczność którego zarzyna hodowaną na miejscu świnie. Generał Iwan Ołeksijowicz Pietrow przybywa w towarzystwie majora Arefiewa i komisarza politycznego kapitana Klitanina.

Po odpoczynku zaprosiłem gości na obiad do mojego pokoju. Teść zaserwował przepiękny stół. Akurat była godzina 14. Na spotkanie przyszli specjaliści Obserwatorium: Nowysz, Zacharczenko, Czumyczew; była także obecna Olga — ona podawała do stołu. Trwała ożywiona rozmowa. Wszystko wyszłoby bardzo dobrze, gdyby nie Wania, który na koniec przyniósł wódkę wymieszaną ze spirytusem i nikogo o tym nie uprzedził. Skutkiem tego po obiedzie Sergijko i Nowysz poczuli się kiepsko i poszli spać. Poza tym obiad przebiegł cudownie. Generał wygłosił pierwszy toast za towarzysza Stalina. Generał to prosty, przystępny i przyjazny człowiek. Było nam z nim dobrze i wesoło.

O godzinie 17.30 odbył się drugi obiad, tym razem z udziałem całej załogi Obserwatorium. W jego trakcie...



... wystąpił Wasyl Tomaszczuk. Tym razem mówił wspaniale. Opowiadał jak to on i Palijczukowie ocalili Obserwatorium, i zaznaczył, że pewnie za to należałoby się im jakaś nagroda. Następnie Jurij Palijczuk powiedział, że to oni z bratem uratowali obserwatorium i poprosił generała, żeby przekazał radzieckiej władzy, że ona jest dla nich rodzona, bliska i rozumiała.

Jak z tego widać, po prawie półtora roku od wrześniowych wydarzeń 1939 r. liczba bohaterów ratujących Obserwatorium wzrosła do trzech: Wasyla Tomaszczuka oraz Jurija i Wasyla Palijczuków.

Wart odnotowania jest także jeszcze jeden zapis Korostarenki. Pisze on mianowicie, że pod wpływem sugestii kapitana pograniczników zagadnął Jurę Palijczuka o podziemne lotnisko pod Obserwatorium. A następnie skrzętnie notuje jego odpowiedź, że to chyba jakiś dureń głupoty opowiada i że on zna tu każdy kamień, i nie ma pojęcia, gdzie mogłoby być takie lotnisko. Widać z tego, jak głęboko legenda o podziemnym lotnisku musiała zapaść w świadomość sowieckich funkcjonariuszy, skoro w półtora roku po zajęciu Obserwatorium nadal go szukali. Jeżeli taką wiedzę dysponował sowiecki wywiad w 1939 r., to można sobie wyobrazić z jakim lękiem i niepewnością podchodziły ich oddziały 19 września 1939 r. pod gmach Obserwatorium. Pewnie spodziewali się jakiejś wymyślnej zasadzki, na przykład, że cała góra się nagle zapadnie. A tu nic. Rozczarowanie. Polacy oddają „supertajny” obiekt w idealnym stanie okupantowi.

## Podsumowanie

Jak więc było naprawdę? Analizując szczegółowo wszystkie przekazy, a także kolejność i okoliczności ich powstawania, z dużą dozą prawdopodobieństwa można postawić tezę, że było tak, jak chciał Władysław Midowicz. Jego zapobiegliwość i gospodarskie myślenie uchroniły Obserwatorium przed grabieżą i dewastacją, a także doprowadziły do przekazania obiektu w idealnym stanie władzom okupacyjnym. Całą resztę dorobiły po trosze huculska wyobraźnia i sowiecka propaganda.

Jak się zdaje, czerwonoarmistom i ich politrukcom po prostu w głowach nie mogło się pomieścić, że wycofujący się Polacy nie zniszczyli Obserwatorium. Przecież nie trzeba było ładunków wybuchowych, wystarczyło podpalić zbiorniki z ropą. Mało tego, nie dość, że nie zniszczyli sami, to jeszcze zrobili wszystko, żeby nie dopuścić do dewastacji budynku. Taki obraz „polskich panów” nijak nie pasował do tego, co w ich umyśle włączała od lat propaganda. Nie pasował także do ich mentalności. Trzeba było więc znaleźć jakiejś racjonalne wyjaśnienie tej zagadki. No i wymyślili — to Huculi, wywieszając

czerwoną flagę, uniemożliwili Polakom zniszczenie budynku. A Hucułom takie rozwiązanie też było w smak, bo a nuż „należałaby się jakaś nagroda”.

W liście do Leszka Rymarowicza z 23 kwietnia 1991 r. pisze Władysław Midowicz:

W Dzembronii proszę ostrożnie spytać się kogoś starszego, czy żyje jeszcze Jurko Palijczuk, który donosił nabiał i świeże mięso do Obserwatorium i pozostał tam po naszym odejściu jako chwilowy dozorca. Prawdopodobnie zlikwidowało bidaka parszywe NKWD. Mój wierny „Czarny Jura”! Miał tam chałupę, żonę i dzieci.

Zdziwił by się pewnie pan Władysław, gdyby się dowiedział, że dzięki jego instrukcjom Jura nie tylko nie trafił w łapy NKWD, ale wręcz przeciwnie, został bohaterem uwiecznionym na kartach sowieckiej literatury. W tym, co pisał Midowicz, zdaje się zawierać także wyjaśnienie przedziwnego rozmnożenia obrońców Obserwatorium. Otóż Jurko był tylko chwilowym dozorcą — po prostu tego dnia był akurat pod ręką. Właściwym stróżem był przecież Wasyl Tomaszczuk, który pewnie też chciał mieć swój udział w ratowaniu, a i tak do literatury przeszedł ten trzeci, czyli Wasyl Palijczuk — może ktoś pomylił nazwiska i imiona?



Narciarze w styczniu 1964 r. pod murami Obserwatorium na Pop Iwanie  
(fot. Zenon Sokołowski)

Na koniec jeszcze słowo o rzeźbie stylizowanego orła nad głównym wejściem do budynku Obserwatorium. Każdemu, kto widział jej zmasakrowane resztki tkwiące do dziś w ruinach, narzuca się myśl, że została ona zniszczona w czasie wojny lub zaraz po niej, kiedy budynek z pewnością służył jako schronienie członkom UPA. Na znany nam od końca lat 80. widok uszkodzeń przypominających ślady po pociskach wyobraźnia nakłada obrazy czerwonoarmistów lub banderowców rozstrzeliwujących zniechwalony symbol. Nic bardziej mylnego. Poniższe zdjęcie,<sup>6</sup> wykonane w styczniu 1964 r., jest dowodem na to, że utrzymana w stylistyce *art deco* rzeźba przetrwała wojenną zawieruchę w całkiem niezłym stanie, a zniszczenia dokonane zostały znacznie później.

Jak wiemy do końca lat sześćdziesiątych Czarnohora była praktycznie całkowicie zamknięta dla postronnych, ale w następnej dekadzie zaczęli się pojawiać w oknach radzieckiej turyści. Czy to przyniosło jakieś zmiany?



Plaskorzeźba orła nad portalem wejściowym Obserwatorium (fot. Zenon Sokołowski, 1964)

<sup>6</sup> Wykonał je profesor Zenon Sokołowski, architekt z Iwanofrankowska, który jest wielkim propagatorem idei ocalenia Obserwatorium jako zabytku architektury. Dzięki jego fotografii, która — miejmy nadzieję — będzie podstawą do rekonstrukcji obiektu, udało się rozwiązać tajemnicę napisu w prawym dolnym rogu rzeźby. Otóż jest tam umieszczone nazwisko projektanta rzeźby Zygmunta Kosmowskiego, autora plakatów i oprawy graficznych publikacji Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, znanego także z wiersza o Pop Iwanie opublikowanego w *Powrotach w Czarnohorę* (op.cit.).



Pozostałości płaskorzeźby orła w 2011 r. (fot. A. Wielocha)

## Aneks

### PROTOKÓŁ

*spisany z władzami gminy Tiszabogdany 23 września 1939 roku o przekazaniu i odbiorze instrumentów astronomicznych będących własnością Państwa Polskiego i przewiezionych do Tiszabogdany.*

*Obecni byli niżej podpisani:*

*Mgr Władysław Midowicz jako kierownik polskiego obserwatorium na Czarnej Horze (po polsku Popie Iwanie), które jest własnością Państwa Polskiego, oraz panowie Stefan Szczyrbak i Bernat Liberra, asystenci kierownika obserwatorium, a także pani Antonia Midowicz z domu Gwienko, żona kierownika.*

*Wymienione osoby oświadczyły, że na skutek wojny zostały zmuszone do ucieczki z przyjaznej Polski do gminy Tiszabogdany. Najpierw 18 września osoby te przenocowały przy zaporze Balcaturi należącej do gminy Tiszabogdany, a 19 bm. przeniosły się do Tiszabogdany wraz ze sprzętem bardzo dużej wartości zdemontowanym we wspomnianym obserwatorium. Sprzęt ten wymienieni Państwo w celu przechowania i bezpiecznego złożenia przekazali dziś głównemu notariuszowi gminy Tiszabogdany Szanyi Kalmanowi, który instrumenty te przejął i umieścił w pomieszczeniu kasy gminy Tiszabogdany.*

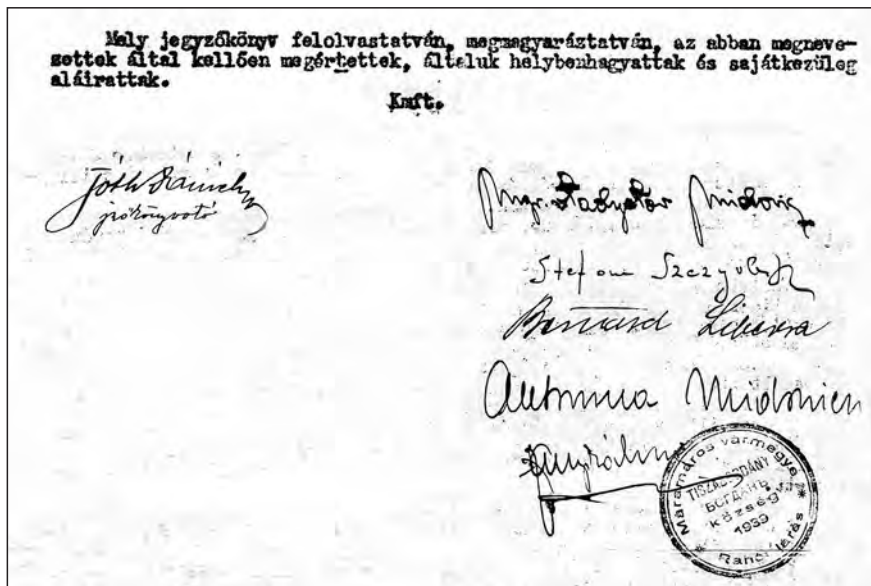
*Są to następujące instrumenty:*

*pięć sztuk soczewek szklanych dużych rozmiarów o wadze 50–60 kg, bez opakowania, a dokładniej bez oprawy. Dwie szklane soczewki mniejszych rozmia-*

rów osadzone w metalowych oprawkach. Jeden mikrometr wykonany z metalu. Instrumenty te były umieszczone w jednej większej skrzyni w sposób opisany poniżej. Przekazano i przejęto następnie jeden zegar umieszczony w wypolerowanej skrzynce, służący do sygnalizacji czasu środkowoeuropejskiego, jeden zegar astronomiczny w wypolerowanej skrzynce i jeden precyzyjny mikrometr.

Wszystkie te cenne instrumenty były umieszczone w mniejszej dębowej skrzyni w sposób następujący:

Przed zapakowaniem tych instrumentów wszyscy wspólnie sprawdziliśmy, że nie są uszkodzone. Następnie zawartość wielkiej drewnianej skrzyni zapakowaliśmy pojedynczo w miękką flanelę, w watę i ponownie we flanelę i ułożyliśmy w skrzyni ułożonej miękkim sianem. Mniejszą skrzynię również wyścieliliśmy sianem, aby znajdujące się w niej instrumenty nie uległy uszkodzeniu w przypadku najsilniejszych wstrząsów albo podczas upadku, w każdej skrzyni znajduje się napisany na maszynie wykaz instrumentów w języku polskim podpisany przez wszystkich wyżej wymienionych. Następnie obie skrzynie zabito gwoździami i opieczętowano okrągłą pieczęcią urzędową wspomnianego obserwatorium z trzema gwiazdami w środku i napisem w otoku „Obserwatorium P.I.M. Na Popie-Iwanie”. Pieczęć ta była umieszczona w wielu miejscach. Ponadto skrzynie opieczętowano pieczęcią



Zakończenie protokołu z Tiszabogdany z podpisami i pieczęcią

własną Szanyi Kalmana oraz pieczęcią gminy Tiszabogdany. Następnie zaklejono skrzynie w kilku miejscach taśmą klejącą i w miejscach tych własnoręcznie podpisy złożyli wyżej wymienieni. Na tym przekazanie zakończono. Skrzynie z instrumentami zostały tymczasowo złożone w pomieszczeniu kasy urzędu gminy Tiszabogdany. Niniejszy protokół dotyczący czynności przekazania i przejęcia został sporządzony w 7 egzemplarzach i każdy z wyżej wymienionych otrzymał i przejął jeden egzemplarz. Jedną kopię przesłano do Głównego Sędziego obwodu (powiatu) Rachow, a jeden egzemplarz przekazano głównemu notariuszowi Szanyi Kalmanowi do złożenia i przechowania w kasie pancernej urzędu gminy. Po przeczytaniu, objaśnieniu i po zrozumieniu treści niniejszego protokołu obecni przyjęli go bez zastrzeżeń i własnoręcznie podpisali.

Podpisy:

Toth (protokolant)

wyżej wymienieni uczestnicy przekazania

okrągła pieczęć gminy Tiszabogdany z tekstem: „Komitat (żupa) Marmaros, obwód (powiat) Rachow, gmina Tiszabogdany, rok 1939”

dopisek: Bogdan (cyrylicą)



Jedna z pierwszych polskich grup turystycznych po wojnie (1989). Przed wejściem do ruin Obserwatorium na Pop Iwanie stoją od lewej: M. Birski, P. Janko, J. Wróblewski, P. Luboński, A. Wielocha, I. Charysz, R. Werdon, P. Michnol, J. Marszałek, Z. Rykiert, siedzi A. Kulewski